

„Semiramida” z Ewą Podleś

Cud czy zmarnowana szansa?

EWA PODLEŚ, jeden z nielicznych obecnie kontraltów na świecie, śpiewaczka, która po wielu latach pracy nad głosem i repertuarem weszła teraz, jak się wydaje, w zenit swej mocy artystycznej, wystąpiła 13 i 15 lutego na scenie Opery Narodowej. Specjalnie dla niej teatr przygotował inscenizowane wykonanie koncertowe operowej rzadkości - „Semiramidy” Rossiniego.

Podleś dysponuje kontraltem, czyli najniższym głosem kobiecym, jednak na tyle giętkim (koloratura!), o rozległej skali (od altowych „dołów” po sopranowe „góry”), że jest wprost idealną odtwórczynią ról rossiniowskich. Doceniają to teatry świata (La Scala, Teatro Real w Madrycie, sceny francuskie i szwajcarskie), zaczynają doceniać wytwórnie nagraniowe (ostatnio Podleś współpracuje ze znanym francuskim dyrygentem Markiem Minkowskim; ukazało się już nagranie „Ariodante” Haendla, przygotowywany jest „Orfeusz w piekle” Offenbacha). Choć trzeba podkreślić, że nie ma ona szczęścia do godnych profesjonalizmu, jaki prezentuje, spektakli i koncertów w kraju. Nie interesuje się nią też zbyt wiele przemysł operowy: nie ma ekskluzywnego kontraktu z jakąś renomowaną wytwórnią nagraniową, nie udziela na prawo i lewo wywiadów prasie itd., itp.

Jej pechem jest to, że zaczęła się liczyć na świecie dość późno (po czterdziestce), co nie pasuje do lansowanego modelu supergwiazdy sceny muzycznej: młodej, smukłej i utalentowanej. Ma też konkurencję w osobach śpiewaczek młodszych i do tego nie mniej zdolnych: Vesseliny Kasarowej czy Jennifer Larmore.

W Warszawie zaproponowano wykonanie pośrednie między spektaklem a koncertem; dziwością ów polega na tym, że na scenie są pewne rekwizyty, artystów ubrano w kostiumy, światło jest reżyserowane, sytuacje sceniczne do pewnego stopnia też. Taką formę stosuje się na świecie ostatnio dosyć często, zwłaszcza w przypadku oper, w których poza wirtuozowskim śpiewem niewiele się dzieje. Za taki „koncert w kostiumach” uchodzi właśnie opera „Semiramida” - o królowej Babilonii zakochanej w swym własnym synu (nie wie o tym po-



Ewa Podleś

krewniństwie) - wodzu scytyjskim Arsace (rola męska na kontralt kobiecy). Punktem kulminacyjnym dzieła są zupełnie niezwykłe, wirtuozowskie duety owej pary, które - o ile wykonane błyskotliwie - wywołują szaleńczy aplauz widowni.

W Warszawie, niestety, nie było dlań zbyt wielu powodów. M.in. z powodu orkiestry, która pod dyrekcją swego szefa, skądinąd niezłego dyrygenta Grzegorza Nowaka, sadziła kiks za kiks, fałszując równo we wszystkich grupach instrumentów, a do tego grając wciąż na granicy poprawnej intonacji, co - jak się łatwo domyślić - nie ułatwiło życia śpiewakom. Obroną ręką wyszedł za to chór przygotowany przez - wciąż szczecinianina! - Jana Szyrockiego.

Centrum spektaklu była, oczywiście, Ewa Podleś. Partię Arsacesa zna na wylot, odniosła w niej dwa zresztą znaczące sukcesy: w weneckim teatrze La Fenice i poznańskim Wielkim. Po jej występie miałem jednak mieszane odczucia. Śpiewała, jak zawsze, głębokim, ciemnym, dźwięcznym i nieco „dzikim” głosem, nie było ostro brzmiących dźwięków, były fragmenty wirtuozerii... Jednak nie na tyle błyskotliwej, by mogła ona współtworzyć wielką historię wykonania tej roli; poddzielane rejestry, jakby za krótki oddech, przesadnie artykułowana koloratura i obojętność na taki środek muzycznego wyrazu jak legato (czyli płynne łączenie dźwięków) - wszystko to budziło niedosyt.

Tak więc dla jednych wydarzył się cud, że w ogóle doszło do tej „Semiramidy” (poprzednio planowano wykonanie w Filharmonii Narodowej, ale nie doszło do skutku), dla innych, także dla mnie, była to wszakże jeszcze jedna zmarnowana szansa pokazania wybitnej polskiej śpiewaczki w godnym jej talentu kontekście.

Maciej DEUAR